

Tu, gdzie Barba dyskutował z Grotowskim

ROZMOWA | Jacek Bunsch, reżyser teatralny, wykładowca akademicki, były dyrektor Teatru Polskiego we Wrocławiu, opowiada o ciągłości kultury w Europejskiej Stolicy Kultury.

W: Czy przed uzyskaniem tytułu Europejskiej Stolicy Kultury Wrocław mógł czuć się miastem niedocenionym jako ośrodek kulturotwórczy?

JACEK BUNSCH: Jeśli nawet czuł się trochę niedoceniony, to miał ku temu powody. Warto przypomnieć, że już od końca lat 60. XX wieku Wrocław przeżywał wielki rozkwit, zwłaszcza jako ważny ośrodek teatralny. Zawdzięcza to przede wszystkim Jerzemu Grotowskiemu, a jego słynne spektakle „Książę Niezłomny” czy „Apocalypsis cum figuris” realizowane we wrocławskim Teatrze Laboratorium wpisały się na trwałe w historię światowego teatru. Jednak Wrocław tamtego okresu to także Festiwal Teatru Otwartego. Pamiętam, że jako studenci z Krakowa mający na co dzień znakomite spektakle Starego Teatru oraz słynne przedstawienia Kantora jeździliśmy zawsze do Wrocławia, by zobaczyć nowości kontrkultury.

Dobrze czuliście się we Wrocławiu?

Dla mieszkańców Krakowa, który jako jedno z nielicznych miast w Polsce prawie nie ucierpiał w czasie wojny, Wrocław był miejscem zadziwiającym. Oprócz starych zachowanych gmachów i nowych budowli całe ciągi ruin, które tworzyły

dziwną dekorację dla spotkań z undergroundowym teatrem grupy zapaleńców szukających sposobu nowego ukazania świata. To we Wrocławiu można było spotkać Petera Brooka, zaobserwować, jak słynny reżyser włoski Eugenio Barba dyskutował z Grotowskim na temat jego koncepcji teatru. Dla ludzi PRL to było takie zetknięcie z Zachodem, bo Wrocław leżał na Zachodzie. Dziś, gdy prowadzę zajęcia na PWST, muszę przypominać tamte zjawiska, bo mało się o nich pamięta.

Był jeszcze słynny Wrocławski Teatr Pantomimy Henryka Tomaszewskiego.

Tomaszewski zagościł we Wrocławiu na dobre, bo zanim stworzył swój teatr pantomimy, był uznanym solistą Opery Wrocławskiej. Stworzył na jej scenie wiele ról, które uznano za wybitne, krytycy często podkreślali nowatorstwo użytych środków aktorsko-ruchowych. Ale teatr wrocławski zwrócił na siebie uwagę dzięki spektakłom Jerzego Jarockiego w Teatrze Współczesnym, teatrze, który stał się domem Tadeusza Różewicza. Potem była epoka Kazimierza Brauna, którego stylizacja zdecydowanie ukształtowała tę scenę. We Wrocławiu kwitła też kontrkultura studencka. I tu



MATERIAŁY PRASOWE

warto przypomnieć takie zjawisko, jak Kalambur i jego głośna premiera „Szewców” zrealizowana przez Włodzimierza Hermana. Życie kulturalne zawsze toczy się pewnymi sinusoidami i dlatego wydaje mi się, że warto przypomnieć tamten okres, który sytuował to miasto w nurcie poszukującego ośrodka kultury.

Skoro wspominał pan realizację „Szewców” w Kalamburze, to warto przypomnieć, że twórczość Witkacego, podobnie zresztą jak Gombrowicza, dość szybko stała się pana „specjalizacją”, co udowodnił pan jako reżyser, a później dyrektor Teatru Polskiego we Wrocławiu.

Ten teatr rzeczywiście odgrywa w moim dorobku artystycznym szczególną rolę.

Etat reżyserski w Teatrze Polskim zaproponowano mi od razu po dyplomie. Planowałem wtedy właśnie realizację „Szewców”, ale do premiery nie doszło, bo wybuchł stan wojenny, musieliśmy czekać półtora roku, żeby zrobić ten spektakl. To był zresztą dramat mojego pokolenia. Skończyliśmy studia i w naszą artystyczną przyszłość wkroczył generał Jaruzelski. Ja i moi rówieśnicy próbowaliśmy na nowo podjąć dyskusję ze współczesnością, widząc ją w mocno groteskowych barwach. Stąd Gombrowicz i Witkacy stali się moimi mentorami. Pamiętam takie zdanie z „Janulki, córki Fizdejki”: „siedzimy jak stare grzyby w głębi puszczy zbolszewizowanych”, i do dziś nie wiem, jak to się stało, że pod koniec lat 80. cenzura to puściła. Notabene gdyby nie stan wojenny, zacząłbym współpracę z warszawskim Teatrem Dramatycznym.

Ale potem rozluźniły się pana kontakty także z Wrocławiem.

Wszystko dzięki propozycji kontraktu z Danią. Tam sporo wyreżyserowałem, miałem też wykłady. Po prostu od czasu do czasu warto zmienić klimat.

Stąd potem z niezwykłą energią prowadzony Teatr Miejski w Gdyni, oczywiście im. Gombrowicza, gdzie powołał pan do dziś istniejący

festiwal dramaturgii współczesnej R@Port. Ale wróćmy do Wrocławia, gdzie prowadzi pan zajęcia zarówno na ASP, jak i w PWST. Co zyskał Wrocław, stając się Europejską Stolicą Kultury?

Zyskał ogromnie dużo. Przede wszystkim światowy rozgłos i promocję, która jest nie do przecenienia. Postrzegany jest jako nowoczesne miasto z bogatą historią. Miasto zadbane i mające szacunek do przeszłości.

Można powiedzieć, że przywracaniu jego świetności bardzo pomogła powódź...

Paradoksalnie tak. Ówczesny prezydent miasta Bogdan Zdrojewski, a potem jego następca Rafał Dutkiewicz w obliczu nieszczęścia, jakim była powódź, potrafili wyciągnąć wnioski na przyszłość i nie skupili się na doraźnych działaniach, lecz opracowali kompleksowy plan rewaloryzacji miasta. Dziś, kiedy się patrzy na skutki tamtych zmian, widać, że to miasto nie tylko jest piękne, ale też funkcjonalne, a historia miesza się tu ze współczesnością. Stąd decyzja o uczynieniu z Wrocławia Europejskiej Stolicy Kultury wydaje się czymś naturalnym i całkowicie uzasadnionym. ©

—rozmawiał

Jan Bończa-Szabłowski